

Człowiek, który słyszał architekturę

Był raz człowiek, który przez wiele lat wierzył słownikom.

Nie dlatego, że był naiwny. Przeciwnie. Uważano go za bardzo dokładnego. Nazywał się Feliks i pracował jako protokolant w starym sądzie, w którym korytarze pachniały papierem, kurzem, wilgotnymi płaszcami i zdaniem wypowiedzianymi za późno.

Feliks umiał zapisywać szybko.

Szybciej niż większość ludzi mówiła prawdę.

Siedział przy stole pod oknem, z twarzą spokojną, piórem w dłoni i kartkami ułożonymi tak równo, jakby porządek papieru mógł choć trochę naprawić nieporządek spraw, które trafiały na salę.

Zapisywał:

- Nie miałem zamiaru.
- Nie pamiętam.
- To nie tak było.
- Ja tylko chciałem porozmawiać.
- Ona przesadza.
- On nigdy mnie nie słuchał.
- Kocham dziecko.
- Nie miałem wyboru.

Słowa przechodziły przez jego rękę i stawały się tekstem.

Feliks lubił ten moment. W mowie ludzie byli rozchwiani, zbyt głośni albo zbyt cisi, czerwienili się, kasłali, przerywali sobie, płakali, zaciskali szczęki, udawali spokój, chwyтали powietrze w połowie zdania. Na papierze wszystko robiło się czystsze.

Zdanie zaczynało się wielką literą.

Kończyło kropką.

Można było je przeczytać.

Można było powiedzieć:

- To zostało wypowiedziane.

Feliks wierzył, że człowiek mówi to, co mówi.

Jeśli ktoś powiedział: „nie chciałem”, zapisywał „nie chciał”.

Jeśli powiedział: „kocham”, zapisywał „kocha”.

Jeśli powiedział: „przepraszam”, zapisywał „przeprasza”.

Nie należało do niego rozstrzyganie, czy słowo miało w sobie ciało. Od tego byli sędziowie, biegli, świadkowie, czasem Bóg, jeśli ktoś jeszcze umiał go wzywać bez teatralności.

Feliks miał zajmować się zapisem.

I robił to znakomicie.

Pewnego dnia na salę weszła kobieta w granatowym płaszczu. Sprawa była zwyczajna, a przez to ciężka. Małżeństwo, dziecko, mieszkanie, pieniądze, oskarżenia, powroty, wyjścia, telefony, głuchość, szklanki odstawiane za mocno na blat.

Kobieta mówiła spokojnie.

— Ja tylko chcę, żeby on się zatrzymał.

Feliks zapisał:

„Świadek oświadcza, że chce, aby pozwany się zatrzymał”.

Mężczyzna siedział po drugiej stronie sali i nie poruszył się. Tylko jego dłoń, leżąca na kolanie, zacisnęła się powoli, jakby usłyszała nie zdanie, lecz smycz.

Kobieta mówiła dalej:

— Ja go oszczędzam. Naprawdę. Gdybym chciała, mogłabym powiedzieć więcej.

Feliks zapisał:

„Świadek oświadcza, że oszczędza pozwanego i mogłaby powiedzieć więcej”.

Mężczyzna spojrzał na nią krótko.

Nie było w tym spojrzeniu ani złości, ani strachu. Było coś innego. Jakby zobaczył nóż przykryty serwetką i nie wiedział, czy powinien mówić innym, że to nadal nóż.

Sędzia zapytał:

— Czy chce pani dodać coś jeszcze?

Kobieta uśmiechnęła się blado.

— Nie. Ja już wszystko powiedziałam.

Feliks zapisał:

„Świadek oświadcza, że powiedziała wszystko”.

I właśnie wtedy po raz pierwszy poczuł, że zapis jest niepełny.

Nie brakowało słów.

Wszystkie były.

Brakowało tego, co słowa zrobiły z pokojem.

Po rozprawie Feliks został chwilę sam na sali. Układał papiery, ale wciąż słyszał zdanie:

— Ja go oszczędzam.

W słowniku było proste.

Oszczędzać: nie zużywać, chronić przed czymś, darować, nie narazić na stratę.

A jednak na sali to zdanie nie chroniło.

Ono stało nad mężczyzną jak ręka trzymająca ciężki przedmiot i mówiąca: widzisz, jeszcze go na ciebie nie upuściłam.

Feliks zamknął teczkę.

Tego dnia pierwszy raz pomyślał, że słownik może być zbyt spokojny wobec człowieka.

Miał żonę, Alicję.

Alicja była nauczycielką muzyki. Nie grała już koncertów, choć kiedyś chciała. Uczyła dzieci prostych melodii, poprawiała palce na klawiszach, cierpliwie znosiła fałszy i mówiła, że człowiek najpierw musi usłyszeć, że nie trafia, zanim zacznie trafiać naprawdę.

Wieczorem Feliks opowiedział jej o sprawie.

Nie o szczegółach. Tych nie wolno było przynosić do domu. Opowiedział o zdaniu.

— Powiedziała: „ja go oszczędzam” — rzekł. — A ja zapisałem dokładnie. Ale mam poczucie, że nie zapisałem niczego.

Alicja nalała mu herbaty.

— Bo zapisałeś nuty bez wykonania.

— Co?

— W muzyce też tak jest. Na papierze stoją te same nuty. Ale jedna osoba zagra je jak kołysankę, druga jak rozkaz, trzecia jak pożegnanie, czwarta jak pokaz własnej sprawności. Nuty są te same. Człowiek jest inny.

Feliks spojrzał na nią.

— Słowa też?

— A myślisz, że nie?

Milczał.

Alicja usiadła naprzeciwko.

— Powiedz „kocham cię”.

— Teraz?

— Teraz.

Feliks poczuł zakłopotanie.

— Kocham cię.

— Powiedziałeś to tak, jakbyś oddawał dokument w sekretariacie.

— Nieprawda.

— Powiedz jeszcze raz.

— Kocham cię.

— Teraz jakbyś przeproszał, że masz uczucie.

— Alicjo.

— Widzisz? Słowa te same.

Feliks chciał się obronić, ale nie znalazł właściwego zdania. A może znalazł ich za dużo i każde pokazywało coś, czego wolał nie oglądać.

Kilka dni później w sądzie zeznawał ojciec.

Sprawa dotyczyła syna, chłopca, który przestał chodzić do szkoły. Ojciec był wysoki, gładko ogolony, ubrany porządnie. Mówił spokojnie, rzeczowo.

— Ja mu dałem wszystko.

Feliks zapisał:

„Ojciec oświadcza, że dał synowi wszystko”.

Chłopiec siedział obok matki i patrzył w podłogę.

Ojciec powtórzył:

— Wszystko. Pokój miał. Komputer miał. Telefon miał. Na treningi go woziłem. Czego jeszcze chciał?

Feliks zapisywał.

Ale zaczął słyszeć inaczej.

Nie tylko: ojciec dał.

Słyszał: ojciec wylicza.

Słyszał: ojciec przedstawia rachunek.

Słyszał: ojciec nie pyta, czego syn nie dostał, tylko broni spisu rzeczy wręczonych.

Chłopiec nagle powiedział cicho:

— Ja nie jestem komputerem.

Na sali zrobiło się niewygodnie.

Sędzia poprosił, żeby mówił wyraźniej.

Chłopiec powtórzył:

— Ja nie jestem komputerem.

Feliks zapisał.

Tym razem poczuł, że zdanie jest większe od swoich pięciu słów.

Nie chodziło o komputer.

Chodziło o całą architekturę domu, w którym miłość przychodziła jako wyposażenie.

Od tamtego dnia Feliks zaczął słuchać niebezpiecznie.

To znaczy: nie umiał już słuchać wyłącznie znaczenia.

Ktoś mówił:

— Ja jestem spokojny.

A Feliks słyszał palce uderzające o blat.

Ktoś mówił:

— Nie mam żalu.

A Feliks widział usta tak wąskie, jakby żal musiał przeciskać się przez szparę.

Ktoś mówił:

— Niech robi, co chce.

A całe zdanie brzmiało: niech spróbuje.

Ktoś mówił:

— To dla twojego dobra.

A w powietrzu robiło się ciasno, jakby dobro było pokojem zamykanym od zewnątrz.

Z początku go to męczyło.

Wolał dawne słowa.

Były stabilniejsze.

Można było je zapisać, oprawić w protokół, opatrzyć podpisem i odłożyć do akt.

Teraz każde zdanie miało piwnicę.

A czasem całe podziemne miasto.

Pewnego popołudnia przyszedł do Alicji do szkoły muzycznej. Siedział pod drzwiami sali, czekając, aż skończy lekcję. W środku mała dziewczynka grała game. Myliła się stale w tym samym miejscu.

— Nie bój się klawisza — mówiła Alicja.

Dziewczynka próbowała jeszcze raz.

Znowu błąd.

— Nie bój się — powtórzyła Alicja łagodnie.

Po lekcji Feliks zapytał:

— Skąd wiedziałaś, że ona się boi?

— Słysząc.

— Przecież tylko pomyliła dźwięk.

— Nie. Ona nie myliła dźwięku. Ona cofała rękę przed dźwiękiem.

Feliks pomyślał, że może całe życie zapisywał dźwięki, a nie słyszał cofania ręki.

W domu zaczął obserwować siebie.

To było najgorsze.

Łatwiej słyszeć architekturę cudzych zdań niż własnych.

Pewnego ranka powiedział do Alicji:

— Powinnaś wcześniej wychodzić, bo potem się spieszysz.

Zdanie było rozsądne.

Praktyczne.

Pomocne.

A jednak Alicja spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno.

— Ty nie martwisz się teraz o mój pośpiech.

— A o co?

— O to, że mój ruch rano burzy twój porządek.

Feliks zamilkł.

Chciał powiedzieć: nieprawda.

Ale usłyszał własne zdanie jeszcze raz.

„Powinnaś wcześniej wychodzić.”

Nie było w nim: „widzę, że jesteś zmęczona”.

Nie było: „mogę ci pomóc”.

Nie było: „usiądź, zrobię ci herbatę”.

Było: ustaw swój ruch tak, żeby mniej naruszał mój świat.

Zrobiło mu się wstyd.

— Masz rację — powiedział.

Alicja popatrzyła uważnie.

— Teraz to zdanie było prawdziwsze.

— Bo?

— Bo nie próbowało mnie urządzać.

Od tamtej chwili Feliks zaczął rozumieć, że zdania nie tylko opisują relację. One ją ustawiają.

Jedno zdanie może przysunąć krzesło.

Drugie może zabrać powietrze.

Jedno może otworzyć drzwi.

Drugie może postawić człowieka pod ścianą, choć nie padło ani jedno groźne słowo.

Przez wiele lat ludzie pytali w sądzie:

— Czy to prawda, co pan powiedział?

Feliks coraz częściej chciał zapytać:

— Co to zdanie zrobiło, kiedy zostało wypowiedziane?

Nie mógł.

Nie taka była jego rola.

Ale słyszał.

Słyszał matkę mówiącą do córki:

— Ja chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

I widział szczęście stojące jak sukienka uszyta przez matkę, za ciasna pod pachami.

Słyszał syna mówiącego do starego ojca:

— Niczego od ciebie nie chcę.

I słyszał pod spodem: chcę, żebyś pierwszy raz zapytał, czego potrzebowałem.

Słyszał mężczyznę mówiącego:

— Nie jestem zły.

I słyszał: moja złość jest tak duża, że muszę ją nazwać nieobecna, żeby nie rozwaliła pokoju.

Słyszał kobietę mówiącą:

— Rób, jak uważasz.

I wiedział, że w tym zdaniu nie ma wolności. Jest próg z ukrytą zapadnią.

Pewnego dnia do sądu trafiła sprawa dwóch braci o dom po matce.

Starszy, Ludwik, mówił dużo. Młodszy, Jan, prawie nic.

— Ja się nią opiekowałem — mówił Ludwik. — Ja byłem na miejscu. Ja wiedziałem, jakie leki. Ja odbierałem telefony. Ja miałem klucze. Ja byłem synem.

Feliks pisał.

Jan siedział nieruchomo.

Sędzia zapytał:

— Czy pan chce się odnieść?

Jan wzruszył ramionami.

— On był bliżej domu.

— A pan?

Jan popatrzył na brata.

— Ja byłem dalej od jego wersji.

Na sali zapadła cisza.

Feliks uniósł wzrok.

Ludwik parsknął.

— Widzicie państwo? On zawsze tak. Jedno zdanie, niby mądre, i znika.

Jan powiedział spokojnie:

— Bo przy tobie każde zdanie stawało się dowodem przeciwko mnie.

Feliks poczuł, jak w pokoju odśłania się stary układ. Nie spór o dom. Spór o język domu. Jeden brat mówił w formie posiadania: ja byłem, ja wiedziałem, ja robiłem, ja miałem klucze, ja byłem synem. Drugi mówił mało, bo w ich rodzinie każde jego słowo natychmiast trafiało do cudzego protokołu.

Feliks zapisał wszystko.

Ale po raz pierwszy pomyślał, że żaden protokół tego nie uniesie.

Wieczorem nie mógł zasnąć.

Alicja położyła mu rękę na plecach.

Nie zapytała od razu, co się stało.

Jej dłoń była ciepła, nieruchoma, nie naciskała. Feliks poczuł, że ten dotyk nie mówi: uspokój się, bo mnie niepokoi twój niepokój. Nie mówił: już dobrze, bo trzeba domknąć wieczór. Nie mówił: jestem dobra, zobacz, że cię dotykam.

Mówił:

jestem tu, a twoje plecy nie muszą natychmiast odpowiadać.

— Ty tak dotykasz — powiedział cicho.

— Jak?

— Jakbyś zostawiała człowiekowi miejsce na jego własny oddech.

Alicja nie zabrała ręki.

— A ty jak dotykasz?

Feliks milczał.

Przypomniawszy sobie, jak dotykał jej ramienia, gdy płakała: krótko, zadaniowo, z lekkim poklepywaniem, jakby ciało drugiego człowieka było drzwiami, które trzeba zamknąć przed przeciągiem emocji.

Przypomniawszy sobie, jak poprawiał koc choremu ojcu. Jak dotykał syna, gdy ten był mały — ostrożnie, ale nieobecnie, bardziej sprawdzając temperaturę niż spotykając skórę.

— Chyba tak, jakbym chciał naprawić stan — powiedział.

Alicja przesunęła dłoń bardzo powoli.

— Może dlatego tak długo nie wiedziałam, czy mnie pocieszasz, czy regulujesz pokój.

To zdanie weszło w niego głęboko.

Nie obronił się.

Wstał i poszedł do kuchni.

Nie po to, żeby uciec. Po wodę. Tym razem naprawdę po wodę.

Stał przy zlewie i pomyślał, że dotyk jest zdaniem bez słów.

A człowiek dotykając drugiego, pokazuje nie tylko troskę o niego, ale własną mapę bliskości. Ten, kto obejmuje zbyt mocno, może nieść w ciele głód bycia utrzymanym. Ten, kto muska ledwie skórę, może znać granicę jako cienką szybę. Ten, kto klepie po plecach, może umieć tylko zamienić ból w czynność. Ten, kto trzyma spokojnie, może znać miejsce, w którym nie trzeba nic poprawiać.

Rano Feliks zapisał w notesie:

Gest skierowany do drugiego jest autoportretem ręki.

Nie był pisarzem.

Nie pisał dla ludzi.

Ale od pewnego czasu zdania zaczęły do niego przychodzić, bo nie mieściły się już w protokołach.

Kilka miesięcy później Feliks przeszedł na emeryturę.

Pożegnano go skromnie. Przewodniczący wydziału powiedział:

— Pan Feliks przez wiele lat wiernie zapisywał ludzkie sprawy.

Wszyscy bili brawo.

Feliks uśmiechnął się.

Chciał powiedzieć: zapisywałem słowa, nie sprawy.

Nie powiedział.

Nie był to moment na poprawianie cudzej uroczystości.

Po odejściu z sądu zaczął spacerować po mieście. Siadał w parku, w kawiarni, na przystanku, w poczekalni przychodni, w bibliotece. Słuchał ludzi.

Nie podsłuchiwał dla plotki.

Raczej uczył się, jak brzmi świat, gdy nie trzeba już robić z niego protokołu.

W kawiarni kobieta mówiła do mężczyzny:

— Możesz mi powiedzieć prawdę.

Ale jej palce tak mocno trzymały filiżankę, że Feliks słyszał: powiedz mi tylko taką prawdę, która mnie nie rozpadnie.

Na przystanku matka mówiła do dziecka:

— Przestań wymyślać.

A dziecko przestało mówić nie dlatego, że nie miało racji, tylko dlatego, że jego świat nie dostał pozwolenia na istnienie.

W bibliotece starszy pan powiedział do bibliotekarki:

— Tylko pytam.

Ale całe jego ciało mówiło: proszę, niech ktoś jeszcze zauważy, że przyszedłem.

Feliks zaczął rozumieć, że ludzie niemal nigdy nie mówią wyłącznie o tym, o czym mówią.

Mówią swoim lękiem o cudzym spóźnieniu.

Mówią swoim głodem o cudzej obojętności.

Mówią swoim porządkiem o cudzym chaosie.

Mówią swoim opuszczeniem o cudzej niezależności.

Mówią swoją granicą o cudzym kroku.

Mówią swoją raną o czyjejs winie.

Nie zawsze kłamią.

Często naprawdę wierzą, że opisują drugiego człowieka.

Ale spośród tysięcy możliwych rzeczy widzą właśnie tę jedną. I już ten wybór jest podpisem ich architektury.

Pewnego dnia w parku spotkał chłopca rzucającego kamykami do stawu. Przy chłopcu stała babka.

— Przestań — powiedziała. — Ludzie patrzą.

Chłopiec nie przestał od razu.

— Ja tylko robię kółka.

— Powiedziałam: przestań. Nie umiesz się zachować.

Feliks siedział niedaleko.

Dawniej usłyszałby: babka strofuje dziecko.

Teraz słyszał coś innego.

„Ludzie patrzą” nie było zdaniem o ludziach.

Było zdaniem o kobiecie, która nie potrafiła znieść bycia widzianą przez cudzy możliwy osąd. Dziecko nie rzucało kamyków w staw. Rzucało je w jej lęk przed spojrzeniem.

Chłopiec opuścił rękę.

Kamyk został w dłoni.

Feliks podszedł powoli.

— Ładne kółka wychodzą — powiedział.

Kobieta spojrzała na niego nieufnie.

— Proszę pana, on przeszkadza.

— Komu?

Zawahała się.

— No... ludziom.

W parku nie było prawie nikogo.

Feliks nie chciał jej zawstydząć.

Powiedział więc spokojnie:

— Czasem ludzie mniej patrzą, niż nam się wydaje.

Kobieta odwróciła wzrok.

Chłopiec wrzucił kamyk.

Na wodzie rozeszły się kręgi.

Jeden za drugim.

Feliks pomyślał, że zdania są właśnie takie. Człowiek rzuca słowo, a ono rozchodzi się po drugim ciele, po pokoju, po relacji, po latach. Czasem krąg gaśnie szybko. Czasem dociera do brzegu, którego mówiący nawet nie widzi.

Wieczorem opowiedział Alicji o chłopcu.

— Zrobiłeś się niebezpieczny — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo słyszysz cudze zdania przed ich właścicielami.

— To źle?

— Może być źle, jeśli zapomnisz, że słyszenie nie daje prawa do wejścia.

Feliks przyjął to poważnie.

To była dla niego najtrudniejsza lekcja.

Kiedy człowiek zaczyna słyszeć architekturę, może pomylić widzenie z prawem. Może zacząć poprawiać ludzi, odsłaniać ich przedwcześnie, mówić: nie mówisz o mnie, mówisz o sobie; to nie troska, to kontrola; to nie miłość, to lęk; to nie rada, to twoja potrzeba porządku.

I może mieć rację.

A jednak użyć racji jak narzędzia przemocy.

Feliks zaczął więc ćwiczyć powściągliwość.

Słyszeć nie znaczyło odpowiadać.

Widzieć nie znaczyło odsłaniać.

Rozumieć układ nie znaczyło stawać nad człowiekiem z mapą jego własnego domu.

Czasem wystarczyło milczeć tak, żeby drugi miał gdzie usłyszeć siebie.

Któregoś dnia Alicja zachorowała.

Nie ciężko na początku. Tylko zmęczenie, ból, gorszy oddech. Potem lekarze, badania, niejasne wyniki, kolejne wizyty. Feliks bardzo chciał wrócić do dawnych funkcji. Ułożyć leki. Pilnować godzin. Notować objawy. Pytać o temperaturę. Sprawdzać, czy zjadła.

Robił to.

Ale pewnego wieczoru Alicja powiedziała:

— Nie pytaj mnie teraz, czy wzięłam tabletkę.

Feliks zatrzymał się w drzwiach.

— Dobrze.

— Usiądź.

Usiadł.

— Boję się — powiedziała.

Wszystko w nim ruszyło do działania.

Powiedzieć, że będzie dobrze.

Przypomnieć, że lekarz nie przesądził.

Wyliczyć możliwe scenariusze.

Zapytać, gdzie boli.

Przynieść wodę.

Poprawić poduszkę.

Zrobić cokolwiek, żeby jej lęk nie stał w pokoju bez obsługi.

Ale usłyszał własny ruch.

I został.

— Słyszę — powiedział.

Alicja spojrzała na niego.

— Tylko tyle?

— Na razie tyle.

Płakała długo.

Nie mocno. Cicho. Jak ktoś, kto przez wiele lat uczył innych słuchać dźwięku, a teraz sam wydaje dźwięk, którego nie da się zapisać nutami.

Feliks trzymał jej dłoń.

Nie ścisnął.

Nie głaskał zadaniowo.

Nie poklepywał.

Uczył się być ręką, która nie poprawia stanu.

Po kilku minutach Alicja powiedziała:

— Teraz naprawdę mnie dotykasz.

To zdanie zostało z nim do końca jej życia.

Alicja umarła jesienią.

Nie dramatycznie.

Nie literacko.

Po prostu pewnego ranka jej oddech, który przez ostatnie tygodnie był coraz cieńszy, nie wrócił po dłuższej przerwie.

Feliks siedział przy niej.

Nie powiedział: kocham cię.

Powiedział to wcześniej wiele razy.

Różnie.

Niektóre z tych razy były niezgrabne, niektóre spóźnione, niektóre zbyt ostrożne, kilka prawdziwych. Tego ranka nie chciał już dokładać słowa tam, gdzie obecność była ostatnim językiem.

Po pogrzebie dom zrobił się bardzo głośny.

Nie od dźwięków.

Od nieobecności.

Feliks chodził po pokojach i słyszał zdania Alicji zapisane w przedmiotach. Kubek mówił inaczej niż nuty. Szal inaczej niż krzesło przy pianinie. Wszystko miało własną składnię. Wszystko wypowiadało jakiś fragment człowieka, którego już nie było.

Przez wiele miesięcy nie pisał.

Potem pewnego dnia otworzył notes.

Na pierwszej stronie napisał:

Nie pytaj najpierw, co człowiek powiedział. Zapytaj, co się przez niego wypowiedziało.

Na drugiej:

Słowa są fasadą. Głos jest klatką schodową. Milczenie bywa piwnicą. Ciało zna plan budynku.

Na trzeciej:

Nie mówimy o świecie takim, jaki jest. Mówimy światu tym, jak jesteśmy zbudowani.

Nie pokazywał notesu nikomu.

Aż do dnia, gdy przyszła do niego wnuczka, Irena.

Miała siedemnaście lat i oczy człowieka, który od dawna słyszy więcej, niż umie unieść. Usiadła przy kuchennym stole i powiedziała:

— Dziadku, mama mówi, że jestem trudna.

Feliks poczuł stare sądowe krzesło pod sobą, choć siedział we własnej kuchni.

— A co ty słyszysz, kiedy tak mówi?

Irena wzruszyła ramionami.

— Że jestem trudna.

— Tylko?

— Że przeszkadzam.

— W czym?

Dziewczyna milczała.

— W jej spokoju — powiedziała w końcu.

Feliks skinął głową.

— To już inne zdanie.

— Czyli ona mnie nie kocha?

— Tego nie powiedziałem.

— To co?

— Może kiedy mówi: „jesteś trudna”, opisuje nie tylko ciebie. Może opisuje miejsce w sobie, które nie umie pomieścić twojego ruchu.

Irena patrzyła długo.

— To znaczy, że nie jestem trudna?

— Może jesteś. Czasem jesteśmy trudni. Ale człowiek, który nas tak nazywa, pokazuje także własny próg trudności.

— Czyli to jest trochę moje i trochę jej?

— Czasem tak.

— A czasem?

— Czasem zdanie bardziej należy do mówiącego niż do tego, o kim mówi.

Irena oparła brodę na dłoni.

— To straszne.

— Dlaczego?

— Bo wtedy trzeba uważać na własne słowa.

Feliks uśmiechnął się smutno.

— Tak.

— I na cudze?

— Też. Ale inaczej. Cudzych nie trzeba od razu przyjmować jako wyroku.

Dziewczyna siedziała jeszcze chwilę.

Potem zapytała:

— Dziadku, a jak ktoś mówi „kocham cię”, to też może mówić o sobie?

Feliks spojrzał w stronę pianina Alicji.

— Zwłaszcza wtedy.

— To skąd wiadomo, czy to miłość?

— Po tym, co to zdanie robi z drugim człowiekiem.

— Jak to?

— Czy robi mu miejsce, czy zabiera. Czy zostawia oddech, czy żąda odpowiedzi. Czy widzi osobę, czy trzyma ją w swoim stanie. Czy po tym zdaniu człowiek może być bardziej sobą, czy musi natychmiast stać się częścią cudzej potrzeby.

Irena zapisała coś w telefonie.

— Co pisesz?

— Żeby nie zapomnieć.

Feliks pomyślał, że może pierwszy raz w życiu nie przeszkadza mu, że zdanie zostało zapisane. Bo tym razem nie było protokołem przeciwko komuś. Było oknem.

Kilka tygodni później Irena przyszła znowu.

— Powiedziałam mamie, że kiedy mówi „jesteś trudna”, to może mówi o swoim zmęczeniu.

Feliks zamarł.

— I co?

— Wściekła się.

— Możliwe.

— Powiedziała, że jestem bezczelna.

— A ty?

— Powiedziałam, że może bezczelność to nazwa dla mojego zdania, którego nie umie przyjąć.

Feliks zakrył twarz dłonią.

— Ireno.

— Co?

— Słyszenie architektury nie znaczy, że trzeba od razu rozebrać komuś dom.

Dziewczyna spuściła wzrok.

— Czyli źle zrobiłam?

— Nie wiem. Może za wcześnie. Może za ostro. Może prawdziwie, ale bez miejsca.

— Prawda potrzebuje miejsca?

— Bardziej niż kłamstwo. Kłamstwo wciska się wszędzie. Prawda, jeśli ma nie zranić tylko dla samego ranienia, potrzebuje progu.

Irena milczała.

— To po co wiedzieć? — zapytała w końcu.

Feliks długo szukał odpowiedzi.

— Żeby nie dać się uwięzić w cudzym zdaniu. I żeby własnego zdania nie zrobić więzieniem dla kogoś.

To była chyba najprostsza rzecz, jakiej mógł ją nauczyć.

Pod koniec życia Feliks słyszał już mniej.

Słuch osłabł mu po siedemdziesiątce. Najpierw wysokie dźwięki, potem ciche rozmowy, potem szept. Musiał prosić, żeby powtarzano. Czasem udawał, że usłyszał, bo ludziom robiło się przykro, gdy trzeba było mówić drugi raz.

Ale dziwne: im gorzej słyszał słowa, tym wyraźniej słyszał układy.

Widział, jak ktoś mówi „nic się nie stało” i poprawia rękaw.

Widział, jak ktoś mówi „mam czas”, ale stopy stoją już przy wyjściu.

Widział, jak ktoś mówi „nie szkodzi”, a ciało robi się mniejsze.

Widział, jak ktoś mówi „proszę bardzo”, a w środku zamyka drzwi.

Pewnego zimowego dnia siedział w przychodni. Obok niego młoda kobieta rozmawiała przez telefon.

— Tak, mamo, wszystko dobrze — mówiła.

Pauza.

— Nie, naprawdę dobrze.

Pauza.

— Nie, nie płaczę.

Pauza.

— Mówię przecież, że dobrze.

Feliks nie słyszał głosu matki po drugiej stronie. Nie musiał.

Słyszał córkę, która zdaniem „wszystko dobrze” próbowała jednocześnie ochronić matkę przed sobą i siebie przed matką.

Kobieta zakończyła rozmowę.

Siedziała sztywno, z telefonem w dłoni.

Feliks nie powiedział nic.

Nie miał prawa wejść w jej sprawę.

Po chwili jednak podał jej chusteczkę.

Spojrzała zdziwiona.

— Dziękuję.

— Proszę.

— Ja nie płaczę.

— Wiem.

Nie dodał nic więcej.

I może właśnie dlatego po chwili naprawdę zaczęła płakać.

Nie do niego.

Przy nim.

To była różnica, której nauczył się późno.

Gdy człowiek słyszy zbyt dużo, nie musi stawać się tłumaczem każdego bólu. Czasem wystarczy nie przeszkodzić temu, co i tak próbuje znaleźć wyjście.

Feliks umarł kilka lat później.

W jego biurku znaleziono notes.

Nie było w nim wspomnień z sądu, choć mógłby zapisać ich tysiące. Nie było nazwisk, dat, sensacji, cudzych spraw. Były zdania.

Na ostatniej stronie stało:

Człowiek może dobrać słowa.

Może wybrać ton.

Może nauczyć się formuł, przeprosin, komplementów, troski i miłości.

Ale całej swojej architektury nie ukryje.

Ona przejdzie przez zaimkę, pauzę, nacisk, spojrzenie, dłoń, chwilę wypowiedzenia i miejsce, w którym drugiemu zabraknie powietrza albo wreszcie będzie mógł oddychać.

Niżej, słabszym pismem, dopisał:

Słownik mówi, co znaczy słowo.

Człowiek pokazuje, czym było zdanie.

I jeszcze niżej:

Nie pytaj tylko: co powiedział?

Zapytaj: jaki dom stanął między nami, kiedy to mówił?

Irena zabrała notes.

Nie jako świętość.

Nie jako podręcznik.

Raczej jako ostrzeżenie, że żadne zdanie nie wychodzi z człowieka samo.

Przez wiele lat pracowała potem z ludźmi.

Nie w sądzie.

Nie w szkole muzycznej.

W małym pokoju z dwoma fotelami, stołem, rośliną przy oknie i ciszą, która nie była pusta.

Kiedy ktoś mówił:

— Jestem zły,

nie spieszyła się.

Kiedy ktoś mówił:

— Kocham,

nie wzruszała się od razu.

Kiedy ktoś mówił:

— Niczego nie potrzebuję,

nie wierzyła temu zbyt szybko.

Nie dlatego, że podejrzewała ludzi o kłamstwo.

Dlatego, że wiedziała, iż czasem człowiek mówi prawdziwymi słowami z miejsca, które nie zna jeszcze prawdy.

Pytała więc czasem:

— Co to zdanie robi z panem, kiedy pan je wypowiada?

Albo:

— Gdzie w pani ciele zaczyna się to „nie chcę”?

Albo:

— Czy to jest prośba, granica, oskarżenie, czy próba zatrzymania kogoś przy sobie?

Ludzie bywali zdziwieni.

Przecież powiedzieli jasno.

Przecież słowa były proste.

Przecież każdy wie, co znaczy „kocham”, „boję się”, „nie chcę”, „musisz”, „zostań”, „idź”, „przepraszam”.

Irena wtedy czasem myślała o dziadku.

O jego równych protokołach.

O jego późnym słyszeniu.

O Alicji, która powiedziała, że nuty bez wykonania nie są jeszcze muzyką.

I odpowiadała spokojnie:

— Słowa są ważne. Ale nie zawsze są pierwsze.

A gdy ktoś pytał:

— To co jest pierwsze?

Irena patrzyła uważnie, nie za długo, żeby nie zabrać człowiekowi miejsca.

— Człowiek, który nimi przyszedł.

Na ścianie jej pokoju wisiała mała kartka.

Nie rzucała się w oczy.

Nie była oprawiona.

Można było ją przeoczyć.

Widniało na niej jedno zdanie Feliksa:

Nie wierzę już słownikowi bardziej niż człowiekowi.